

PRZEDPŁATA:

W Radomiu bez
odnoszenia:Rocznie rb. 4, pół-
rocznie rb. 2,
Kwartalnie rb. 1.

Pocztą:

Rocznie rub. 5, pół-
rocznie rb. 2 kop. 50,
kwartalnie
rubli 1 kop. 25.Rękopisy
bez zastrzeżeń
nie zwracają się

OGŁOSZENIA:

Na 1-ej stronie:
za wiersz garmono-
wy lub jego miejsce
40 kopiejek.Nekrologi, Reklamy,
Nadesłane:
za wiersz petirowy
lub jego miejsce
15 kopiejek.Ogłoszenia
z wyjątkiem:
pierwszy raz 8 kop.,
następne po 5 kop.,
za wiersz petirowy
lub jego miejsce.

Redakcja i Administracja otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 10-ej rano do 4-ej popołudniu.

Adres Redakcji i Administracji: ulica Lubelska, dom W-jej Abramowiczowej obok gmachu Rządu Gubernjalnego.

Gazeta Radomska

WYCHODZI W ŚRODY I SOBOTY.

Dr. Franciszkowi Kosickiemu

ZASŁUŻONEMU LEKARZOWI I ZACNEMU CZŁOWIEKOWI

w 25-tą rocznicę Jego pracy

poświęca REDAKCJA.



Dr. Franciszek Kosicki.

Z fot. J. Grodzkiego—Radom.

D-r KOSICKI

chirurg i Radomianin.

Jubileusz lekarza, i to ćwierćwiekowej dopiero pracy, acz nie jest zdarzeniem rzadkiem, nie odbija się nigdy w społeczeństwie echem głośniejszym, jak jubileusz aktora lub artysty, przechodzi on najczęściej niepostrzeżenie, w cichości, nie zwracając niczyjej uwagi: nie grają lekarze na serech lub nerwach pomimo, że najdroższy skarb nasz, zdrowie, mają powierzone swej pieczy. To też jeżeli święcony w dniu dzisiejszym jubileusz D-ra Franciszka Kosickiego jest dla Radomia wypadkiem, który zdołał przerwać zwykłą apatyczną naszą drzemkę, dowód to, że przyczyny, dla których go święcimy, nie są zwykłej miary.

Jakoż istotnie Jubilat dzisiejszy najpopularniejszą bodaj w Radomiu jest postacią i to postacią nawskroś miejscową, swojską, związaną z miastem całym swoim życiem, które, wyjąwszy pięć lat studjów

uniwersyteckich, spędził w jego murach. Długie lata patrzyli współobywatele na czyny jego i życie pracowite i, poznawszy je, zadali kłam twierdzeniu, jakoby nikt prorokiem w swojej ojczyźnie nie został.

Nie błyskotliwym było życie Jubilata, lecz ciężkiem, pracowitem borykaniem się z trudnościami wszelkiej natury, jakie piętrzyły się na Jego drodze.

Będąc młodzieńcem 24-letnim rozpoczął Kosicki zawód swój lekarski w mieście rodzinnem i zrazu umiłowałszy wspaniałą dziedzinę medycyny, chirurgię, dotąd z poświęceniem nad nią pracował, aż doszedł samodzielnie do wyników, które go pomiędzy najbłębszych na naszej prowincji praktyków zaliczyć pozwalają. Samodzielność bowiem stanowi wybitną cechę charakteru Jubilata: nie posiadając właściwej szkoły chirurgicznej, opierając się tylko na studjach anatomicznych, jakie studentem będąc przy słynnym Hirsfeldzie z zamilowaniem odbywał, zaczął on stawiać pierwsze kroki jako chirurg w szpitalu Ś-go Kazimierza, którego ówczesny ordynator ś. p. D-r Emil Gosławski, człowiek wielkiego serca i zasługi obywatelskiej i lekarz światły, lecz nie chirurg-specjalista, podwoje z całą gotowością przed młodym lekarzem otworzył. Tutaj spędzał Kosicki większą część dnia w ciągu lat 25, tutaj i dzisiaj króluje, nieodłączny w pojęciu ogółu od szpitala.

Stwarzać na prowincji, w ubogim i opuszczonym szpitalu chirurgię na przełomie epokowym dla niej samej, u wrót świetlanej przyszłości, jaką otworzyły przed nią wiekopomne prace Lister'a, dotyczące przeciwnego opatrunku ran, własną intuicją pozbyć się starych w szkole słyszanych przesądów lub błędów, przejąć się duchem wielkich odkryć nowożytnych — oto zadanie, jakie przypadło Kosickiemu w udziale i jakie świetnie wykonać potrafił. Nad grobem przedwiecznym dla nauki naszej i społeczeństwa zgasłych chirurgów warszawskich Matlakowskiego, Jawdyńskiego, Jasińskiego, podnoszono ich zasługi, jako pionierów nowego w nauce chirurgicznej kierunku — te same zasługi ma dla Radomia Kosicki z tą jeszcze wyższością, że gdy pierwsi mieli mistrzów-kierowników i środki choć niebogate, ale wspierające pracę, Kosicki stworzył sobie pole i warunki do pracy sam, bez pomocy ze strony społeczeństwa lub instytucji.

Któż, co znał bliżej jego życie, nie pamięta go operującego pierwotnie nieśmiało, w chlewiku raczej jak pokoju, który własnem staraniem wydarł na salę

operacyjną, bez narzędzi i pomocy, dźwigającego na własnych rękach chorych na stół operacyjny, myjącego własnymi rękami podłogi i ściany, przygotowującego płyny antyseptyczne, łączącego w sobie funkcje operatora, asystenta, felezera, posługacza, — a potem w miarę postępu i pewności przechodzącego do operacji coraz trudniejszych, by je nakoniec wielkiem świętem chirurgicznym — udaną laparatomją (rozcieciem brzucha) uwieńczyć? Były to wielkie tryumfy nauki, lecz zastosowanie jej wynalazków do trudnych warunków miejscowych stanowi wyłączną zasługę Kosickiego dla miasta i guberni całej — nawet dalszej polaci kraju. Z małej, brudnej ciupy, gdzie operował pierwotnie, przechodzi następnie do niewiele większego pokoiku, który swoim kosztem na salę operacyjną przerabiał: tam pracuje z coraz lepszymi wynikami lat kilkanaście i przed paru dopiero laty zdobywa lokal do pracy odpowiedni — salę operacyjną, urządzoną podług wymagań nauki współczesnej.

Samodzielne, a mozolne dochodzenie od rzeczy małych do większych stworzyło drugą cechę Kosickiego jako chirurga — gruntowność w poznaniu i dokładność w robocie. Postęp w chirurgii nie był nigdy ani błyskotliwy; nim zdecydował się wykonać operację po raz pierwszy, nie tylko przygotował się do niej naukowo z odpowiedniej literatury, lecz jeździł do Warszawy, by ją ujrzeć w wykonaniu, jednym słowem nie zaniedbywał niczego, co by dobry jej wynik zabezpieczyć mogło. To też, na ogół biorąc, nader mało miał Kosicki wyników njemnych pomiędzy operowanymi przez siebie przypadkami, a jeszcze mniej takich, któreby wymagały poprawy z powodu niedokładnej, powierzchownej, na efekt obliczonej roboty. Wielką pracą zdobywszy zaufanie ogółu dla swego noża, niełatwo decydował się na operacje, któreby jego skuteczność w powątpiewanie podać mogły. Pomimo to zakres jego praktyki obejmuje wszystkie prawie operacje większe, dotyczące chirurgii jamy brzusznej, organów moczopłciowych, kostne, plastyczne itp., a liczbę tych operacji na tysiące pono liczyć już można.

Przy swej wielkiej praktyce i uzdolnieniu nieznanym jest Kosicki w literaturze lekarskiej — nie napisał on nie w ciągu ćwierćwiekowej swej działalności. Kto jednak zna charakter, wiedzę i pracowitość Jubilata, ten zrozumie, że nie dla braku materiału i lenistwa milczało jego pióro, lecz dla absorbujących go dniem całe zajęć, które nie pozostawiały zmęczonemu i wy-

cierpanemu możności pracowania w kierunku nauko-wo-literackim. Przytem jako człowiek *par excellence* pracy—nie był nigdy Kosicki biegłym w wysławianiu się; nawet jako nauczyciel, kształcąc na oddziale swoim szpitalnym felezerów, więcej czynem jak słowem uczył ich przyszłego zawodu i temu zawdzięcza cały szereg jego uczniów doskonale przygotowanie i nieskąpy kawałek chleba.

Odrębną cechą Jubilata stanowi stosunek jego do miasta rodzinnego: jest on, krótko mówiąc, jednym z typowych Radomian starszej daty, echem ostatnich wspomnień tych „dobrych czasów“, kiedy trawa rosła swobodnie na bruku naszego grodu, a rogatka lubelska sąsiadowała z gmachem Rządu gubernjalnego. W tym dawnym Radomiu mniej było ludzi, lecz wszyscy byli sobie bliżsi, znali się lepiej, interesowali sobą i wspierali się wzajemnie więcej niż dzisiaj. Obok tej tragedji młodości i zrosłych z nią stosunków długoletnia praca lekarska wytworzyła nadzwyczajne zbliżenie pomiędzy Kosickim a mieszkańcami Radomia. Wesołego z natury usposobienia, w humorystyczny sposób traktujący wspomnienia własnej biedy, znający całe młodsze pokolenie miejscowe od wczesnego dzieciństwa, starsze zaś od czasów swojej młodości—wytworzył on w obejściu atmosferę patriarchalną lub braterską, która przy pewnej rubasznosci zachowania razić by mogła tych, co by nieznali istotnej wartości tego człowieka. Obznajmiony mocą wychowania i zajęcia z istotnymi warunkami Radomia, znający wszystkich mieszkańców miasta osobiście, był kroniką chodzącą wypadków i wspomnień o sprawach publicznych i prywatnych całego prawie pięćdziesięcioletnia ostatniego, w czem pamięć objawiał istotnie niezwykłą. Nędzą też miejską i potrzeby prawdziwe ludzi miały i mają w nim nietylko informatora lecz i pocieszyciela i dobroczyńcę: wiele dałoby się powiedzieć o tem co czyniła lewica Kosickiego bez wiedzy prawicy. Wychowany w czasach świetnego rozkwitu szkolnictwa krajowego, wyniosłszy z ławy szkolnej surowe pojęcia o obowiązkach względem swego społeczeństwa, pozostawał im Jubilat wiernym niezłomnie i stosunek Jego do współobywateli nosi do dziś dnia cechy istnego braterstwa.

Po raz to wtóry za życia swego—co mało komu dano—ma sposobność Jubilat obecnym ocenić to uznanie, jakim darzą współobywatele owocną i ofiarną jego dla siebie pracę. Gdy dziś ogół korzysta z 25-iej rocznicy jego pracy w charakterze twórcy chirurgji, jako wyodrębnionej specjalności naukowej w Radomiu, przed laty czterema uczucia ogółu ujawniły się nie mniej gorąco w chwili dla Jubilata fatalnej. Wszyscy pamiętamy to przygnębienie ogólne, jakie zapanowało w mieście na wieść o ciężkiej chorobie (ropnicy),

jakiej uległ Kosicki wskutek zakażenia przy operacji i to współzucie powszechne, jakie Mu wówczas towarzyszyło; piszący te słowa, naówczas współpracownik Jubilata w szpitalu Ś-go Kazimierza, co chwila dzielić się musiał wiadomościami o zdrowiu Jego z tłumem biedaków, zarówno chrześcijan jak żydów, co z jękami obiegali furtę szpitalną, strwożeni wieściami nadchodzącymi z Warszawy, gdzie Kosicki przebywał przykuty do łóża boleści, w walce pomiędzy życiem a śmiercią.

I nie mogło być inaczej, bo po nad wszystkie Jego przymioty góruje oddanie się choremu współobywatelom: przez pełnienie obowiązków swego powołania pośród tysięcy, których życie lub zdrowie ocalił, żyje on we wspomnieniu wdzięcznym, które trwać będzie długo jeszcze po przebrzmieniu tych słów nieudolnych, jakimi tutaj chciałem zaznaczyć, że Jubilat Kosicki dobrze zasłużonym dla społeczeństwa jest lekarzem a miastu rodzinnemu chlubę przynoszącym obywatelom.

Dr. W. Papiewski.

D-r KOSICKI jako przyjaciel i filantrop.

Jako świadek od lat 15 niezmordowanej pracy d-ra Kosickiego, jako jego uczeń i współpracownik, uważam sobie za obowiązek przedstawić tutaj moralny obraz tego człowieka, który od 25 lat niesie pomoc lekarską cierpiącemu ogółowi z zamilowaniem swego zawodu i z umiłowaniem tych, których los jego opiece powierza.

Doktor Kosicki, pomimo pozornej szorstkości, ma serce współczujące głęboko niedoli cierpiących. Trzeba było widzieć z jakim szczerem ubolewaniem wypytywał się on chorego, który uległ nieszczęśliwemu wypadkowi, o jego cierpieniu, o przyczynę wypadku; jak szczerze żałował poszkodowanego i cierpiącego, by w istocie zrozumieć, iż pod szorstką powłoką kryje się głęboka miłość bliźniego i współzucie dla jego nieszczęścia. „Biedaku, biedaku... powtarzał kilkakrotnie choremu—co ty się nacierpił!“ Z całą delikatnością przystępował do chorego, starał mu się ulżyć w cierpieniu i gdy nawet wypadło chorego pozabawić uszkodzonego członka, starał mu się Dr. Kosicki przedstawić rzecz całą, jako smutną konieczność z żalem, iż musi go uczynić kaleką, ratując mu życie. Ta szorstkość, z której słynie, była nieraz przykrywką dla głębokiego wzruszenia, jakie go ogarniało na widok cierpienia bliźniego. Trzeba było widzieć, jak mu ręka drżała, gdy brał nóż, na myśl, iż musi chorego pozabawić ręki lub nogi; trzeba było wiedzieć, iż nieraz gniew na chorego był tylko zamaskowanym żalem. Wołał do chorego „krzycz!“ a nie „płacz!“ gdyż krzyk go tylko drażnił, płacz zaś obezwładniał. Rzucił wprawdzie czasami narzędzie z gniewem jakoby, gdy chory wskutek rozdrażnienia i bólu głośno łkał, lecz gniew ten był tylko udanym. To był żal, szczerzy żal nad

chorem, który nie mógł się uspokoić i głośno narzekał na swój los nieszczęśliwy... Urobiło się pojęcie o chirurgach, jako o ludziach bez serca, krajających z amatorstwa, a często bez potrzeby. „To rzeźnik“—mówią o chirurgach ci, co nie wiedzą o zadaniach chirurgji, jej wskazaniach i granicach, w jakich działa. Ten przydomek posiada i nasz Kosicki... Wie on o nim dobrze. Przeto przytaczając go tutaj, nie mam bynajmniej zamiaru Mu uchybiać. Chcę tylko wykazać, jak błędnym jest sąd laików o lekarzach w ogóle, o chirurgach zaś w szczególności. Komu się zdaje, że chirurg radby każdego chorego operować, że tenże nie zdaje sobie sprawy z tego, iż pozbawienie kogoś członka bez potrzeby koniecznej jest tworzeniem kalek, kto pomawia chirurgów o amatorstwo *par excellence* do noża, ten daje dowód, że nie pojmuje zupełnie, do czego chirurgja dąży w ogóle, a z nią cała medycyna. Naszem zadaniem jako lekarzy jest uratowanie chorego i powrócenie mu możności pracowania. Któżby z nas chciał uczynić z chorego niedołęę? Któż może z czymś sumieniem pomawiać o to chirurgów? I oni doskonale wiedzą, iż konserwatywizm w chirurgji jest równie cennym przymiotem, jak pożytecznym nóż, i biorą się do tego ostatniego, gdy już wszystkie środki wyczerpującego leczenia są wyczerpano lub gdy potrzeba nagli do usunięcia uszkodzenia lub ogniska choroby.

Bezmyślnym byłby ten chirurg, któryby niemal z zamkniętymi oczami decydował o operacji dla zasady operowania... takich niema. Nasi chirurgowie stoją na wysokości swego zadania i ratując zdrowie i życie swym chorem, dbają również o to, by przywrócić im zdolność do pracy. Takim jest i nasz Dr. Kosicki Tam, gdzie trzeba—wyczekuje, tam, gdzie konieczność nagli—kraje, lecz czyni wszystko z rozmysłem, mając na względzie przede wszystkim samego chorego. To jest lekarz w całym tego słowa znaczeniu. Rozumny, biegły, przewidujący, ostrożny, sumienny, troskliwy i miłujący swych chorych jak dzieci. Mało kto wie o tem, iż zawsze dbały o swych chorych Dr. Kosicki z własnej szkatuły czynił często wydatki dla wygody chorego. Umiał im dostarczać lepszego pożywienia, umiał nieraz i biednych przyodzierać; nie troszcząc się zbytnie o grosz, nie odmawiał biednym swej pomocy bezpłatnej... Nie czynił tego głośno. Faufary o nim nie huczały. Jest to dobroczyńca skromny. Lecz nie odmówi swej pomocy istotnie potrzebującemu. Nie sypnie wprawdzie dziesiątków tysięcy, gdyż ich niema, lecz da co może—i pracy swej i grosza swego nieskąpi.

Jako kolega jest nieoceniony. Nie sądzą, iżby wśród lekarzy miał zawistnych lub niechętnych. Zawsze dla kolegów wylany i serdeczny, radby każdemu z nas dopomóc. Gdy który z nas zachorował, lub gdy choroba dom nasz nawiedziła, zawsze Kosicki stawał u łóżka naszego i z całą pieczołowitością i troskliwością nami się opiekował. Lekarz dla niego był i jest osobistością godną największego poważania i szacunku. Cierpiał zawsze nad tem, gdy słyszał kiedykolwiek o niewłaściwym zachowywaniu się kolegów. Bronił bohatersko zawodu naszego od napasli powołanych i niepowołanych krytyków. Bolał zawsze nad niesprawiedliwymi sądami o lekarzach, bez względu czy to go dotyczyło lub nie,—a przede wszystkim kocha nas wszystkich, ufa, wierzy i pomaga

NOTATKI

z archiwum magistratu radomskiego.

W archiwum magistratu m. Radomia znajduje się uniwersał następujący: „Kommissya porządkowo-cywilno-wojskowa województwa San domierskiego, powiatu Radomskiego zapobiegając złym a zdrowiu Ludzkiemu aż nadto szkodziącym z niedostatecznej edukacji Doktorów skutkiem, stosownie do prawa Krajowego czyni krzątanie y jak najmocniej zaleca, aby każdy mieniący się być Doktorem y tey Proffessyi używać chcący zaświadczenia z Akademij dostateczne na dzień pierwszy miesiąca kwietnia Roku bieżącego Jurium explikacyi w swej kommissyi składali. Inaczej każdy z nich nie składający y od swej kommissyi pozwolenia nie mający, używania Doktorskiej proffessyi moco nie będzie, które mu się naysurowiej pod opowiedzią w swej kommissyi zakazuje, który to Uniwersał przesyłać się y za poprzedniem przez każdego odbierającego zaświadczenia za-

notowaniem zwrot swój do kommissyi mieć mający, podpisany.

Dan w Radomiu na sessyi sądowej d. 9 Lutego 1792 r.“

(podpisano) Stanisław Kochanowski

Prezes Kommissyi

W tymże archiwum znajduje się także list Kanclerza Kor. Młodziejskiego do Magistratu m. Radomia, względem Zamłynia. Treść wspomnianego listu, który poniżej z zachowaniem ówczesnej pisowni, zamieszczam, jest następująca: „Spectabilibus ac Honoratis viris Proconsuli, Consulibus totique Magistratui Civitatis Radomiensis. Spectabiles ac honorati viri. Sławetny Bielecki obojga Porządków M. Radomia Pisarz, pod Dniem 18 Marca Imieniem Obywatelów M. Radomia podał mi tu memoryał z przedłożeniem, że M. Radom na fundamencie Dekretu Kommissarskiego z Roku 1743 zasłęgo, folwark Zamłynie nazwany, dziś w posessyi u W. P. Starosty Radomskiego zostający, przez jednego z swoich Obywatelów strepitu juris chce odzyskać. Pisałem w tej okoliczności do pomienionego Im. Starosty, który odpisał mi, że Prawa y Dekreta Miastu służące, nietylko z Osoby swojej zachowuje, ale żeby y od innych zachowane były, stara się y zawsze starać będzie Dobro tedy Miasta po WM ch wyciąga: żebyście wzajemnie we wszystkich za-

chodzących okolicznościach z nim się znosili, w Jego dobrym życzeniu zaufanie mieli, a tak tym sposobem interessa miejskie pomyślnie zawsze pójdą. Dlaczego życzę WM-ciom żebyście względem wykupna tego folwarku szczerze rzetelnie y prawdziwie z JW. Starostą znieśli się y naradzili, bo jeżeli na to wykupno tego folwarku miałby który Obywatel Radomski zaciągnąć pieniędzy i zaciągnionemi onże wykupić miałby to sobie za pokrzywdzenie ze swego czasu, a może wkrótce znowu wróciłby się w Ręce Szlacheckie kłótniwe Jemu y Miastu uprzykszone, iako tego doświadczenie na J. P. Paprockim, dosyć znaczne grunta M. Radomia posiadającym a przecie żaden z Obywatelów Miasta o wykupnie jego nie myśli y nie stara się. Życzę tedy y powtórnie Wm. żebyście znieśli się y porozumieili tak w tey okoliczności wykupna folwarku yako y w inszych do dobra y całości Miasta ściągających się potrzebach, a upewniam, że we wszystkim łatwości, przychylności, pomocy y wsparcia od tego J. P. Starosty swojego doświadczyćcie. In reliquo wszelkiego dobra od Pana Boga życzę WM. Dan w Warszawie 16 Apr. 1777“

(podpisano) Młodziejski.

J. L.

w każdej potrzebie. Młodych kolegów pragnął zawsze przytulić do siebie. Nie szczędził nikomu z nas, jako studentom jeszcze, wskazówek ze swej skarbnicy wiedzy; prostował nasze błędy, jako niedoświadczonych, młodych lekarzy. A czynił to z pobłażaniem, bez sztywności, z życzliwością prawdziwie bezinteresowną. W każdym z kolegów chciał mieć przyjaciela i swem obejściem serdecznym umiał pozyskać serca tych wszystkich lekarzy, co jego przymioty poznać i należycie cenić umieli.

Za zaszczyt sobie poczytać mogę, że zaliczam się do rzędu tych, których mianem przyjaciela Dr. Kosicki ochrzcił. Od lat wielu związany z nim serdecznymi węzłami, pierwszy jego asystent i współpracownik w szpitalu św. Kazimierza, wdzięczny uczeń i jeszcze wdzięczniejszy wielokrotnie pacjent szczerę się jego przyjaźnią, gdyż jest to przyjaźń nieklamana, czysta jak łąka, serdeczna i bezinteresowna. Gdyż Kosicki, jeżeli kogo umiłuje, zdolny jest do wszystkich poświęceń: nie szczędzi ani swego czasu dla chorego kolegi i przyjaciela, ani zdrowia, ani fitygi, gdy chodzi o pomoc w stosunkach ludzkich. Druh to prawdziwy, szczerzy, otwarty i wypróbowany.

Charakter to prawy, człowiek z gruntu uczciwy. A takiemu należy się szacunek ze wszech miar, szacunek prawdziwie zasłużony. Gdy więc dzisiaj społeczeństwo nasze Radomskie zespoliło się, by wyrazić kochanemu naszemu Jubilatowi swe serdeczne uznanie za ćwierćwiekową pracę lekarską, podziękę za czyny szlachetne i cześć dla zacnego serca, daje ono dowód, że potrafi należycie ocenić ludzi uczciwych, pracę swą i zawód miłujących i zdolnych do poświęceń. Dzień dzisiejszy będzie pamiętnym w historii naszego grodu, który syna swego darzy hołdem Mu należnym w postaci serdecznych życzeń dalszej, długiej, owocnej i w dobrym zdrowiu pracy.

Dr. H. Fidler.

Rys biograficzny D-ra Franciszka Kosickiego.

D-r Franciszek Kosicki, osobistość typowa w Radomiu, znany w dwóch guberniach jako znakomity chirurg, w gronie przyjaciół, kolegów i znajomych jako winiarz, w szczególniejszym kółku klubistów eukiernianych jako teoretyk bilardzista, w gronie sportu kołowego jako prezes cyklistów, urodzony w Radomiu d. 26 listopada 1851 r., pochodzi z szlacheckiej rodziny herbu Łuk z odmianą. W niemowlęctwie, osierocony przez śmierć ojca Michała, wychowywany był przez matkę Marię z Hasmanów i wuja rejenta Hasmana, który musiał używać nie tylko swojej wymowy, lecz i siły fizycznej, by z naszego Franka dzielnego i pożytecznego członka społeczeństwa uczynić. Franek z natury zdolny, nie czuł zamilowania do książki i cały czas spędzał na łobuzerce i płataniu figlów swojemu otoczeniu. Przy mozołnem jednak staraniu się opiekuna i matki, która nie żałowała skóry jedynaka i dzięki wrodzonym zdolnościom, wbrew może woli samego Franka, udało go się umieścić w gimnazjum męskim w Radomiu, tak że w 1862 roku spotykamy go jako ucznia pierwszej klasy. Niestety jednak, ani mundur, ani w spółzawodnictwo kolegów nie zachęca go do książkowych trudów; widocznie na mola książkowego nie był stworzony, stwarza sobie natomiast kółko kolegów, z którymi z całym zamilowaniem oddaje się sportowi—gołębiarstwo jedynie zajmuje jego umysł. Zna wszystkie gołębie w mieście, wie o wszystkich sposobach zwabiania i gromadzenia. Już wtedy wyraźnie zaznacza się przyszły charakter Kosickiego—jak się odda jakiemu zajęciu, to z całym nakładem wszystkich sił swoich i musi dojść w tym kierunku do doskonałości. Kształci się więc w pierwszych klasach gimnazjalnych jako gołębiarz i w fachu tym dochodzi do nieznanego w Radomiu doskonałości. Niepodobna się, niestety, ówczesna jego specjalność nie tylko profesorom, lecz i najbliższemu—wujowi i matce, a ponieważ stopnie były gorzej jak mierne, ubrania trudno było nastarczyć, więc wuj zabierał się z powagą do operacji. Z początku były długie przemowy, a krótkie porcje czynnej sprawiedliwości, lecz ponieważ Franek przy przemowach patrzył przez okno, czy gdzie nie ujrzy rzadkiego gatunku gołębia, a słów wuja zupełnie nie słyszał, przytem z czasem stał się mniej wrażliwym na pracę opiekuńczą ręki, więc z wiekiem dostawały mu się coraz krótsze nauki, a coraz więcej bizunów napędzało rozum do głowy i widocznie pocziwa wujowska ręka była wytrzymalsza od skóry Franka, gdyż przekonała go do książki i w wyższych klasach gimnazjalnych, jakkolwiek nie należał do celujących uczniów, jednakże i sam się kształcił i zapracowywał na swoje utrzymanie korepetycjami.

Ukończywszy w 1870 roku gimnazjum, zapisał się Kosicki na wydział lekarski w Warszawskim Uniwersytecie i tutaj, wybrawszy umiłowany zawód,

oddaje się z całym zapalem pracy. Wtedy już widzą koledzy i profesorzy jego niezwykle zdolności i spostrzegawczość, lecz, niestety, ograniczone środki materialne zmuszają go nie tylko pracować nad kształceniem siebie, lecz i udzielać korepetycji. Na uniwersytecie Kosicki odznacza się uczynnością, koleżeństwem i dobrocią serca. Sam będąc bardzo biednym i mieszkając z kolegami niebogatymi od siebie, gdy w ich kółku bieda bardzo dokuczy, a Frankowi uda się ciężką pracą zdobyć kawałek chleba, nie spożyje sam, lecz dzieli się z kolegami. Gdy biedny stróż wyprawia wesele córce, odstępuje swego mieszkania dla wyprawienia godów i sam w nich czynny udział przyjmuje. Kochany też był serdecznie przez kolegów, tem bardziej, że w biedzie nie opuszczał go nigdy świetny humor, którym się odznacza do dnia dzisiejszego.

Z uniwersyteckich czasów datuje się i zapal Kosickiego do piękna, a głównie do przedstawicieli takowego. Dla poci pięknej w tym okresie czasu Franek jest niesłychanie uprzejmy, nie ma dla niego stanu, ani wieku. Uprzejmość Jego posuwa się do niepojętych granic, tak że gotów najprostszą i najpośledniejszego gatunku robotę wykonać, by wyreczyć przedstawicielkę poci nadobnej. Ta nadechność dla poci pięknej pozostała w nim nazawsze. Ukończywszy w 1875 roku uniwersytet *cum ezimia laude* (z odznaczeniem), miał Kosicki proponowaną posadę asystenta przy profesorze chirurgji ś. p. Girsztowicie, zajął takową, lecz na bardzo krótko, gdyż środki materialne i chęć pomagania ukochanej matce nie pozwoliły pozostać w Warszawie. Wracą do rodzinnego Radomia, pracując z całym zapalem w bardzo ciężkich warunkach, lecz z czasem sumienną, połączoną z wielką znajomością fachu i z zaparciem się własnego ja pracą zdobywa sobie ogólne uznanie i miłość, staje się osobistością znaną każdemu w mieście i szerokiej okolicy. Nikt tak nie umie się rozmówić z pacjentami każdej sfery, jak to potrafi Kosicki: niech tak kto powie chłopu do „wyzrozumienia“ jak on; czy kto sililby się na taką rozmowę z żydami? Nigdy nie zapomnę, jak wzięwszy honorarium od bogatego lichwiarza żyda za wyjęcie kości z gardła, gdy żyd oponował, że za taką małą robotą tyle pieniędzy, Franek zaproponował mu zwrot takowych, ale i włożenie kości w gardło na to samo miejsce. A jakim żargonem była ta rozmowa prowadzona! Kto nie słyszał Kosickiego, rozmawiającego ze złodziejami ich własnym wolapięciem, ten nie może mieć pojęcia, do jakiej doszedł w tym kierunku doskonałości. Nawet z aktorami, przybywającymi do nas trup, potrafił się Kosicki rozmówić właściwym im językiem, z tego powodu zostawał przez lat wiele stałym teatralnym lekarzem.

Jak popularny jest Kosicki w mieście, dość powiedzieć, że gdy podczas przedstawienia „Ptasznika z Tyrolu“ zaśpiewali: „Co za nos, a to Kos“, to cała publiczność zwróciła się ku tej oznace prawdziwej mekkości na obliczu Franka.

Najbardziej typowym jest Franek, gdy w wolnych chwilach od mozołnej pracy, otoczony gronem kolegów współpracowników, w szpitalu zasiada na stole operacyjnym i z wielkim humorem, niepozbowionym jowialności i werwy, rozstrząsa rozmaite kwestje życiowe.

Uczciwy kawaler, dobiega Kosicki w celibacie 5-go krzyżyka. Nie chciał przywiązywać się do jednej białogłowy, by reszcie nie zakręcić serca, bo jakkolwiek pożerałem serce w ścisłem tego słowa znaczeniu nie był, umiał jednak swoimi przymiotami zjednywać sobie serca tych przedstawicieli poci nadobnej, które właściwym sobie instynktem odczuwały doskonałość, co się pod cielesną powłoką Franka kryje *resp.* jego skryte przymioty.

Rzadko kiedy nasz Franek opuszcza mury Radomia, czasami jednak tęsknotą party odlatywał jak bocian, może nie do ciepłych krajów, lecz tam, kędy go nęciło słońce sztuki, lecz również jak bocian w krótkim czasie wracał do domu. Innych bocianich przymiotów zdaje się nie posiadał.

Jowialny, serdeczny, pełen humoru, wdzięcznie wspominający swe dzieciinne lata, swoją ukochaną matkę, kochającą a ciężką rękę wuja, chętnie opowiadający o swych przejściach w życiu, osładza tym że humorem szare nasze życie.

Kosicki służyć może za przykład, iż wrodzona energia, która w dziecku wyladowuje się czasem w dziwacznych kierunkach, w wieku dojrzałym pod wpływem rozumnych rad ukochanych osób, przemienia się na wytrwałość w pracy pożytecznej, a humor ów, który i dzisiaj zmusza Kosickiego gwizdać na „fajfry“, jest pociechą dla Jego chorych, osłodą dla towarzysztwa, a dla Niego niestannym dobroczynnym czynnikiem, podtrzymującym wytrwałość i zamilowanie do ciężkiej Jego pracy.

Niech więc żyje nam z tym humorem długo i świeci przykładem wielu!

Dr. W. Przylecki.

NA DOBIE. U furty szpitalnej.

W jesienny, smutny poranek stoi gromadka wieśniaków u furty szpitalnej. Rezygnacja i apatia malują się na spalonych słońcem i wichrem twarzach. Spoglądają tylko z żalem na jednego z gromady, wysokiego, dzielnego chłopca, którego zwiśle, szmatami owinięte ramię, wskazuje wyraźnie przyczynę tego pod furta szpitalną postoju.

— „A słuchajta kumie, widzieliście kiedy tego dochtora, co ludzi kraje?“

— „Co zaś miałem widzieć, przecie gnoty, Bogu dziękować mam cale, tom ci w szpitalu nie bywał. Bartłomiej z pod lasa, co je bez nogi, to go widzieli i to nie raz, bo ón ci, nie kto inny, tego kulasa mu urznoł.“

— „A dziedzicka mówiła, co je brzydki ale strasnie przymilny,“—wtrąca dorodna gospodyni.

— „Antek, urznoł ci te rękę, czy nie urznoł—ciekawość?“

— „A niechy urzneny, byle tak strasnie nie bolała; kości bez skóry wylazo, opuchła strasenie i takez zeyrniała calusko. Kobita, co zazegnywała, powiadali, co juz ze mnie nie bedzie; dziedzic kazał do szpitala, bo gadajom, co tu je taki dochtór od tego dobry—ale my bidoki, a takie uczone dochtory strasnie drogie, moze nie bedzie chciał kole chłopca robić?“

— „Ten to pono nie taki, mówi hoża gospodyni, dziedzicka pedala.....“

Naraz uciechło w gromadce, chory jęknął głośnie, do bramy zbliżał się dochtór, o którym wieśniacza gwarzyła gromada.

— „Czego tu stoicie?“ zapytał głosem surowym i spojrzal ostro z pod brwi namarszczonych.

Chłopi domyślili się „dochtora“, więc jeden śmielszej natury wysunął się naprzód, a pokłoniwszy się czapką do nóg, szykował w głowie długą przemowę. Lecz dochtór pomieszał mu szyki. Otwierając szybko furtę i znikając za nią, wskazał tylko ręką wieśniakowi, by siedł za nim.

Smutne wrażenie zrobił na chorym gmach szpitalny, szary i skromny, którego mury zdają się łzami być przesiąkłe. Jak promień słońka mignął tylko biały kornet zakonniczy, dążący z kluczykami.

Chłopi pokłonili się „dobrodzice“, i stanęli pod drzewem.

Poczekali już dobre pół godziny, ze zdumieniem i zabobonnym strachem patrząc na „špital“, gdy naraz ręka w białym kaftanie otworzyła lufek pierwszego piętra i ukazał się potężny nos i brwi namarszczone doktora, a głos donośny zawołał:

— „Czegoż się gapicie gawrony, który tam chory, niech idzie na górę—a prędko bo czasu niemam.“

Chłopi ani się ruszyli, tylko spojrzeli po sobie.

— „Taki ci zły ten dochtór, krzycey na cieka ostro, moze by do dom wracać.“

— „O głupie ludzie, zabrała głos gošposia, cy to dziedzicka nie gadała, co ten dochtór to jeno złego udaje, bo ci okrutnie litosierny na bidnych ludzi. Jemu to wszystko jedno, cy to pon, cy ci chłop, cy żyd—chory i juści—rod mu zaradzić najlepší; inny ta sie nad chłopem nawet nie chce paprać.“

Powtórnie otworzono lufek i głos doktora zagrzmał jak grom:

— „A idziesz, czy nie, osle jakiś, ty tam z łapą owiniętą. Łapę to ci pilno było poturbować, a teraz ci się nie spieszy!“

Parobczak pospieszył jak zahypnotyzowany na górę, gdzie po dokładnem obejrzeniu ręki, ucięcie tejże okazało się niezbędne, poczem dłuższe leżenie w szpitalu.

Wyrok doktora wywołał przerażenie u chłopca.

„A dyć ja mom dzieci, wielmożny dochtorze. A któż na nich, roboków, będzie pracował. Niech sie wielmożny dochtór zmiłuje i tak zaradzi, co by łapy nie urzynać.“

W groźnym wzroku doktora mignął wyraz wielkiego współczucia, lecz głos zabrzmiał ostro:

— „A cóż ty sobie myślisz, że dla tego, że masz kilkoro bębnow, to ja ci zostawię rękę zgangrenowaną, nie było się wdawać w takie rzeczy. Łapę ci utnę, bo inaczej umrzesz, rozumiesz?“

— „A z przeproszeniem wielmożnego dochtora, wiela ta trza będzie zapłacić za to likowanie?“

— „Patrzajcie go, bogacz, bębny ma drobne, łapę straci i pyta się co trzeba płacić! Co będziesz mógł to zapłacisz—i kwita.“

Chłop stał zamyślony i zadziwiony, dochtór zaś rozmawiał z biedną kobietą, która trzymała na ręku obandażowane dziecko i gorącymi słowami dziękowała za uratowanie tegoż.

Dochtór przerwał dziękczynienia dosadnym wyrazem i zwrócił się do Siostry Miłosierdzia, by nikt nie zauważył wzruszenia, jakie go ogarnęło na widok chorego maleństwa, które przerażone otoczeniem tuliło się do matki.

— „Przydałaby nam się sala dla dzieci przy szpitalu.“ Szepnęła Siostra.

Druk J. Grodzickiego w Radomiu.